Nr 7. Kraków, 14 Lutego 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna.

Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Do naszych Czytelników.

Rozpoczynając wydawnictwo *Krakusa*, oprócz którego inne także jeszcze pisma i książki pożyteczne wydawać będziemy, chcieliśmy to zrobić z Bogiem i błogosławieństwem Kościoła. Dlatego udaliśmy się do Książąt Kościoła, aby im się opowiedzieć z naszemi zamiarami, a prosić o błogosławieństwo i poparcie.

Do *Jego Eminencyi Kardynała Dunajewskiego, Księcia-Biskupa krakowskiego* mogliśmy się udać osobiście. Jego Eminencya przyjął nas łaskawie, udzielił ze swej strony rad i wskazówek, obiecał poparcie i udzielił błogosławieństwa.

Do innych Książąt Kościoła naszego udaliśmy się listownie i otrzymaliśmy odpowiedzi, z których niektóre ustępy podajemy:

J. Eksc. ks. Arcybiskup Morawski ze Lwowa pisze: „Z żywem zadowoleniem powitałem wiadomość o no„wem wydawnictwie w Krakowie, przedsięwziętem „w chwalebnym celu rozkrzewiania pism w duchu szcze„rze katolickim, a opartych na zdrowych zasadach po„litycznych, społecznych i narodowych. Przedsięwzięcie „to zasługuje na jak najgorętsze poparcie każdego pra„wego Obywatela kraju, Duchowieństwa i Przewodni„ków jego.

„Bogu należą się dzięki, że tak piękną myślą „natchnął Szanownych inicyatorów; w Bogu też ufność, „że dziełu tak pożytecznemu udzieli Swego błogosła„wieństwa.

„Życzę najlepszego powodzenia“ itd.

Najprzew. ks. Arcybiskup Issakowicz ze Lwowa pisze: „Z największą przyjemnością polecę Duchowień„stwu mojemu pismo tygodniowe przez Szanownych Panów „wydawane i zarazem serdecznie błogosławię zacnym „zamiarom Panów utrzymania i podniesienia ducha „katolickiego między naszym ludem polskim.

„Z prawdziwem poważaniem“ itd.

Najprz. ks. Biskup Łobos z Tarnowa pisze: „Po„dzielając zapatrywania i szlachetne zamiary, którymi „ożywione Wydawnictwo, chętnie je popierać będziemy i „wezwiemy Duchowieństwo dyecezyalne do gorliwego „współdziałania w kwestyi tak doniosłej i żywotnej. „Ufając zaś, że dobrej sprawie P. Bóg dopomoże, jako „rękojmię naszej życzliwości i pasterskiej opieki udzie„lamy z całego serca błogosławieństwa dla rozpoczę„tego dzieła“.

Te słowa zachęty i błogosławieństwa Arcypasterzy naszych dyecezyj dodają nam otuchy, że broniąc prawdy, która „żyje, trwa i zwycięża na wieki“ i my także powoli zwyciężać będziemy wszelkie uprzedzenia, i że nasza praca i zabiegi wyjdą na rzeczywisty pożytek dla dobra ogółu.

Spółka wydawnicza polska w Krakowie.

O Radzie Państwa.

(Dokończenie.)

Kropla wody nic nie znaczy: dziecko ją palcem zmaże i śladu nie zostanie, albo uschnie za chwilę. Ale krople wody, razem złączone, obracają młyńskie koła. Tak i człowiek jeden sam nic nie zrobi; choćby krzyczał i wrzeszczał i pięście zaciskał, gniew jego będzie bezsilny, a z pogróżek ludzie się śmieją. Ale ruskie przysłowie dobrze mówi, że gromada — wielki człowiek, i dla tego Polacy, gdy widzą wielu ludzi razem zebranych, mówią że jest *siła* ludzi, bo liczba stanowi moc i siłę.

Tak też i w Radzie państwa: jeden, samotny poseł nic nie znaczy i nic nie zrobi, jeśli go nie poprą drudzy, bo i tam liczba stanowi siłę, a po której stronie większa liczba, tam i większa siła, więc też i wygrana. Zaczem aby mieć tę wygraną i zyskać to czego potrzebują, łączą się posłowie najpierw w *Kluby*, o których była mowa w przeszłym *Krakusie*, a potem kluby łączą się ze sobą i razem głosują, żeby drugich tj. przeciwników swoich przegłosować i na swojem postawić.

To właśnie znaczy owa *większość* w Radzie pań-

stwa, o której mamy dzisiaj mówić. Bez tej większości żaden rząd państwa obyć się nie może, bo jeśli ministrowie czego żądają, a większość posłów w Radzie państwa tego nie żąda, wtedy nie mogą na swojem postawić, nie mogą rządzić, tak jakby chcieli i muszą albo podziękować Najjaśniejszemu Panu za urząd, albo rozwiązać Radę państwa i próbować, czy z nowymi posłami nie będą mieli łatwiejszej sprawy.

W tej Radzie państwa, która obecnie została rozwiązana, było jedenaście gromad, czyli *klubów*, a posłowie każdej gromady siedzieli razem. Ponieważ zaś siedzenia są ustawione w półkole. naprzeciwko prezydenta, czyli marszałka, który siedzi twarzą do posłów obrócony, więc to skrzydło, które siedzi po prawej stronie prezydenta, zowie się *prawicą*, a przeciwne zowie się *lewicą*. Te zaś kluby które siedzą prosto w twarz prezydenta, zowią się środkiem, albo po łacinie *centrum*.

Polacy siedzieli pierwsi na prawicy i zajmowali miejsc 59. Dwóch bowiem posłów siedziało po lewicy, i do koła polskiego nie należało; jeden był ministrem skarbu tj. Dr. Julian Dunajewski, a jeden prezydentem tj. Dr. Franciszek Smolka, który nigdy nie głosuje. Minister głosował zawsze z Polakami, bo jako poseł ma też prawo do głosowania. Razem też z Polakami siedzieli i głosowali czterej posłowie ruscy; jeden (Kowalski) przeszedł na lewicę, między Niemców i z nimi głosował.

Obok Polaków siedzieli *Czesi* i mieli głosów 57, dowodził nimi Dr. Władysław Rygier. Za nimi siedzieli posłowie pod dowództwem hr. *Hohenwarta* i nazywali się *prawym środkiem*, a było ich 34, potem siedział klub pod dowództwem hr. *Coronini* (Koronini) a było ich 12, wreszcie siedział klub pod dowództwem księcia *Liechtensteina*, który się zwał katolickim środkiem i liczył posłów 19. Było jeszcze małe kółko posłów włoskich, zwane *Klub Trentius* i tych było 7. Te koła czyli kluby tworzyły większość, bo miały posłów 188, więc przy głosowaniu miały głosów 11 więcej, niż lewica. Ta większość była niewielka i jak się tamci pilnowali, a z prawicy nie wszyscy się stawili, to mogli na swojem postawić. Skoro więc teraz Czesi między sobą się pokłócili, to już prawica wcaleby większości nie miała i dlatego prezydent ministrów hr. Taaffe rozwiązał izbę poselską, a nowe wybory nakazał.

Ministrów jest w Wiedniu 9 i całe ministerstwo zowie się *gabinetem*. Przewodniczący, czyli prezes ministrów ma największą władzę, bo on cesarzowi przedstawia, kogoby sobie życzył mieć ministrem. Jeśli więc który minister z tym prezesem jest innego zdania, t. j. chce inaczej niżli on, wtedy prosi cesarza o dymisyę, czyli zwolnienie z urzędu. Tak się teraz stało z naszym rodakiem dr. Julianem Dunajewskim.

Ten minister był nad skarbem państwa przez lat 11 i pokazał światu, że Polacy nie gęsi i też rozum mają. Okrzyczeli nas po świecie, że my się rządzić nie umiemy i do gospodarstwa nie mamy głowy, aż tu Polak dokazał tej sztuki, której Niemcy przez pół wieku nie umieli, i wyratował monarchią z długów, w które była zagrzęzła tak, że pożyczać musiała za drogie procenta Te procenta od długów oczywiście musieli płacić poddani. Więc jak Dunajewski wybrnął z długów, to wielką ulgę zrobił.

HISTORYA
O KŁÓTNIACH SZELIGÓW I BERDYSZÓW,
dwóch kmiecych rodzin w Gajowie,
6 i jak się pogodzili ze sobą.

(Ciąg dalszy.)

Zaczęli sobie roić, jakby to dobrze było, żeby się pobrali, bo i w karczmie nie byłoby już bitek, i w domu swarów, i obrazy Boskiej by już nie było. Ale wnet przypomniała sobie Baśka o Walku, o nieprzyjaźni Berdyszów i Szeligów, i rzekła:

— Mój Boże! co my też tu bajdurzymy. Bieda za pasem: czekać jeno, jak Walek da na zapowiedzi, bo i tak jeno na *mentrykę* czeka. Lepiej by było pono, mój Janku, żebyśmy się byli nie poznali, albo swarzyli do końca.

— Ej, moja Baśko, ja przecie mam w Bogu nadzieję. Medytował ja długo, co robić, ażem wymedytował.

— No i cóż takiego?

— Oto pójdę do dworu, do pani i pana, skłonię się, powiem wszystko. Powiem jaki ten Walek hunewot, jak go ty nie chcesz, jak płaczesz i frasujesz się, jak on już wszystkimi pomiata, jak my się mamy ku sobie.

— Cóż z tego, mój Jaśku. kiedy tatuś pogniewali się z dworem, procesują się i już nawet na robotę nie posyłają.

— No, to znowu Walka hunewota sprawka. Powiem i to.

— Albo to pan co na to poradzi?

— E! dyć mnie sama pani nieraz ciebie raiła i gadała święte słowa: ożeń się z Baśką. Ja głupi na to: wolę garbatą Grabczankę. Otóż mnie Pan Bóg ukarał tą niecnotą Walkiem. No! jak przecie pan konceptem ruszy, to może go i wykurzymy.

— Mój Boże! pan nic nie poradzi, choćby chciał. Teraz inne czasy. Pierwszy lepszy drągal buntuje ludzi, aby nie szli do roboty, choćby panu wszystko na garściach zrosło, a pan musi patrzeć na to.

— Prawdać, że inne czasy. No! i cóż my zrobimy, moja Basiu? Chyba tę bestyją zabiję?

Teraz kiedy się te Czechy między sobą powaśniły— Panie, daj im lepszy rozum! — radził minister Dunajewski w *gabinecie*, żeby prawicy dotychczasowej nie rozbijać, tylko w miejsce Czechów, co chcą iść na lewo, przybrać do prawicy posłów katolickich, którzy w różnych krajach Austryi o mandat poselski się starają, a tak będzie większość i bez tych posłów, którzy siedzieli na lewicy.

Ci posłowie z lewicy byli przez całe te lat 11 bardzo markotni, boć oni dawniej sami rządzili i większość mieli, i cesarz też ministrów z pomiędzy nich wybierał. Ale że sobie za wiele dokazywali i na przekór robili cesarzowi, więc się ława przechyliła i spadli z ławy ministerskiej. Zawsze kota bierze oskoma na sadło, którego spróbował, więc nie dziw, że im żal było utraconej władzy. Jednak największy żal mieli do Dunajewskiego o to, że pokazał, jako i bez nich obyć się rząd może.

Teraz oni mają być przybrani do większości, bo tak chce prezydent ministrów hr. Taaffe, więc minister Dunajewski podziękował za swój urząd, a choć Najjaśniejszy Pan bardzo tego żałował, bo już od dawnych lat takiego ministra nie miał, to jednak zgodzić się musiał, bo tak *konstytucya* w państwie wymaga.

Dlatego też to teraz wybory są niezmiernie ważne, i dlatego Biskupi katoliccy monarchii austryackiej do nas się odezwali z upomnieniem, żebyśmy dobrze wybierali.

Ten głos Biskupów naszych będzie w niedziele przeczytany z ambony po wszystkich kościołach i księża ludziom zapewne objaśnią, czegoby dokładnie nie pojęli i nie zrozumieli.

Krakus też w przyszłym numerze napisze o tym liście pasterskim obszernie, żeby czytelnicy dobrze sobie wzięli do serca rady i przestrogi naszych Arcypasterzy duchownych. Bo *Krakusa* może każdy słuchać lub nie słuchać, jak mu się podoba, ale skoro Biskupi mówią, to każdy katolik musi słuchać, bo kto Kościoła nie słucha, ten niech ci będzie, jako poganin i celnik.

O Rusi i Rusinach.

III.

Rusini pod panowaniem rosyjskiem.

Wspomnieliśmy już, że wielcy książęta moskiewscy jak tylko wyswobodzili się z tatarskiej niewoli, zaczęli pożądać zdobyczy, a przedewszystkiem ziem ruskich należących do Polski i Litwy. Wkrótce potem dali oni sobie nazwę „carów wszech Rusi“ dając tem niby do poznania, jakoby wszystkie ziemie zamieszkałe przez lud mówiący ruskim językiem były ich: jakoby lud ruski był tym samym co rosyjski, a język ruski małą tylko odmianą rosyjskiego: (tak niby jak u nas, gdzie góral z Karpat mówi trochę inaczej jak Mazur z pod Warszawy, a przecie oba mówią po polsku). Nie jest to prawda, bo i lud i język ruski jest osobny. Ale zuchwałe oszukaństwo często udaje się mocnemu, bo ludzie jedni boją się zaprzeczyć i ze strachu udają, że wierzą; a drudzy obojętni nie troszczą się, bo ich to nic nie obchodzi. I tak to moskiewskie kłamstwo utarło się w świecie, a dziś wszystkie narody obce, Niemcy, Francuzi, Anglicy, Włosi, myślą i wierzą,

---

— Rety Marya! co też ty gadasz! Żebyś ty miał duszę tracić dla takiego łajdaka. To ja już wolę iść za niego.

— Ale ja nie pozwolę. Pójdę do mego tatusia, płackiem mu do nóg upadnę, potem do twego. Przeciem kmiecy syn, to tego gałgana wyżeną.

— Gadaj sobie! Tatuś cię zwalą kijem, że za mną latasz, a mój za drzwi wyrzucą...

— To chyba w świat pójdziemy oboje, rzekł Jasiek, załamując ręce i płacząc, w świat, gdzie nas oczy poniosą!

— Żebyśmy razem siedzieli na wiarę, na obrazę Boską? O Jaśko! co też ty gadasz!

— Więc cóż robić, cóż robić, moja Basiu kochana! — zawołał Jasiek, przyciskając dziewczynę do siebie. — Ja bez ciebie nie wyżyję, ja się utopię!

Kiedy tak desperują oboje, sadem od chałupy Walkowej przesunął się jakiś człowiek ku Szeligowej chacie. Rozgarnął gałęzie, słuchał chwilę i znikł. Ani pacierza nie zmówił, a jużci hałas się robi, i od Szeligowej chałupy leci stary, matka i kilku z Szeligowskiego końca, a Walek za nimi kuśtyka. Baśka krzyknęła i chciała uciekać. Jasiek widząc co się dzieje, przeskoczył płot i wyrwawszy kół, stanął przed Baśką, aby ją obronić.

— Patrzcie jeno, panie wójcie — mówił Kuternoga — jak tam gołębie u płota gruchają.

Szeliga pienił się od złości i rzucił się jak pies wściekły na Janka:

— Zabić! zabić! — wołał — zabić bestyją! — i klął, co mu ślina do ust naniosła. Podniósł też lagę ogromną na Janka.

Janek zastawił się kołem od płotu.

— Ani kroku, bo ja wam łeb rozwalę, a nie chciałbym, boście ojciec Baśki. Baśki bić nie dam, bo i tak się z nią obchodzicie, jak nie z córką. Kocham Baśkę i kwita!

W tej chwili nadlatuje Berdysz z chłopami z Berdyszowskiego końca.

— Co ty tu gadasz, taki owaki! — zawołał. — Ty z taką paskudą, Szeliżanką się włóczysz. Puszczaj to ścierwo, bo ja ci łeb rozwalę.

I bitka się wszczęła na dobre.

że to prawda: że wszyscy Rusini są (z małą różnicą w mowie) czystymi Rossyanami.

Pierwsza zmiana, jaka spadła na Rusinów kiedy przeszli pod panowanie rosyjskie była ta, że poddani stali się własnością swoich panów. W Polsce było poddaństwo, (jak wówczas na całym świecie), była pańszczyzna, i była tak zwana adskrypcya do gleby, czyli że poddany nie mógł ze swojej wsi się wynieść, a gdzieindziej zamieszkać, jeżeli mu pan na to nie pozwolił. Ale teraz Rossya zaprowadziła w tych ziemiach swoje prawo o poddaństwie, jakiego w żadnym katolickim kraju (i w żadnym innym w Europie prócz Rossyi) nie było, to jest: że poddany był niewolnikiem pana, sprzedawany był jak bydlę, tak jak niegdyś sprzedawali niewolników poganie, jak dotąd robią Turcy i inni Muzułmanie, jak do niedawna robili Amerykanie z murzynami. U nas kiedy się sprzedaje lub nabywa majątek, liczy się morgi ziemi, i podług tego stanowi się cenę kupna. W Rossyi liczyło się dusze (poddanych) i sprzedawało się tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące dusz, wiele ich w tym majątku było. To Rusini zyskali na zmianie panowania*).

Jak tylko zaś Rossya Rusinów zabrała, zaraz zaczęła nad tem pracować, żeby ich na prawdziwych Rossyan przerobić. Języka im nie odbierała, bo sądziła że nie warto: spodziewała się, że ten język do rosyjskiego podobny z czasem coraz bardziej do tamtego się nagnie, jak wszystkie książki i pisma będą rosyjskie, a tylko ludzie na wsi będą mówili po rusku. Ale była inna rzecz, która Rusina od Moskala odróżniała, to wiara. Jak się na Rusi zmieni wiara i będzie taka jak w Rossyi, to za nią pomału zmieni się i dusza i sumienie ludzi, a wtedy naprawdę nie będzie różnicy między Rusinem a Rossyaninem.

Wzięto się też zaraz do zniesienia Unii kościelnej.

W umowie, którą przy rozbiorze Polski zawierały między sobą trzy Państwa: Rossya, Austrya i Prusy, był warunek przez Rossyę przyjęty, przez cesarzowę Katarzynę podpisany, który brzmiał, jak następuje:

„Jej Cesarska Mość przyrzeka nieodwołalnie za „siebie i swoich następców, że nigdy władzy swej nie „użyje na szkodę religii katolickiej obu obrządków“.

Ledwo to podpisała, zwołała Katarzyna radę ze swoich wielkich urzędników i ze swoich schyzmatyckich biskupów, i kazała im myśleć nad sposobem, którymby „prowincye polskie najłatwiej można nawrócić na prawosławie“ (tak w Rossyi nazywają schyzmę). Sposób się znalazł. Na Ukrainie, na Podolu i Wołyniu, na Białorusi (czyli wschodniej Litwie) zamknięto klasztory bazyliańskie, proboszczów, którzy na schyzmę przejść nie chcieli, wypędzano z parafij i zamykano do więzienia, biskupów wypędzono także: na miejsce jednych i drugich przysłano schyzmatyków: założono cztery eparchie (dyecezye) schyzmatyckie: a tak raźnie wzięto się do dzieła, że w przeciągu trzech lat zniesiono dziewięć tysięcy unickich parafij i sto pięćdziesiąt klasztorów, a zapisano na prawosławie ośm milionów ludzi.

Po Katarzynie zasiadł na tronie rosyjskim jej syn Paweł. Ten był dziwak wielki, zmienny w swoich my-

*) Cesarz Aleksander Drugi zniósł ten obyczaj lat temu około trzydziestu.

Janek trzymał Baśkę i zasłaniał pomimo razów ojca, które, jako od rodzica, cierpliwie znosił.

— Ojcze, ojcze kochany! co ja winien, że ja kocham Baśkę i nie chcę, aby ją wydali za tego łotra Kuternogę.

— Co ci do tego! — wołał Berdysz. — Powinieneś się cieszyć, że Pan Bóg Szeligę oślepił. Niech sobie wyda jedynaczkę za tego szubienicznika.

— Wyście szubieniczniki! — huczał Szeliga, porywając Baśkę za warkocz.

— Zmiłujcie się nad Baśką, zmiłujcie! — wołał Jasiek składając ręce.

— Stul pysk, wyrodna duszo! — krzyczał Berdysz, wyciągając Jaśka z za płota.

Ale Jaśkowi przybyło zkądś siły. Rzucił się na Szeligę, porwał Baśkę skrwawioną i zbitą, trzasnął w łeb zachodzącego mu drogę Walka, że aż się przewrócił — i prosto w sień chałupy Szeligi. Chłopi za nim, chcieli zamknąć drzwi drugie, on je wywalił pchnięciem kolana, i jak koń czwałujący, leci wprost ku dworowi, a Baśkę ciągle trzyma na rękach. Chłopi zostali za nim daleko, aż ci stanął przed gankiem dworskim, gdzie pan, pani i jakiś urzędnik powiatowy pili herbatę. Wszyscy aż skoczyli z podziwienia, kiedy Jaśka ujrzeli. Baśka ledwie dychała, złożył ją więc na ziemi, a ukląkłszy przed państwem, jął mówić:

— Wielmożni państwo! ratujcie mnie i Baśkę.

Pierwszy odezwał się sam dziedzic:

— Cóż ty masz do Baśki? — zapytał — wszakże ona Szeliżanka, a ty Berdysz?

Wtedy Jasiek w krótkości wszystko opowiedział. Pan i pani dziwili się zrządzeniu Boskiemu.

— A pamiętasz ty Jaśku — mówiła pani — jakeś wołał Grabczankę albo Piotrowę z pod kościoła?

— To mnie też Pan Bóg ukarał — mówił Jasiek.

Baśka tymczasem za staraniem pani przyszła do siebie, i zaczęła państwa całować i prosić.

Urzędnik powiatowy odezwał się:

— Więc to o Walku Bizunie mowa, co się ma z tą dziewuchą ożenić? No! on się pierwej z kryminałem pozna. Przyjechałem tutaj, aby go aresztować jako złodzieja i dezertera.

ślach i chęciach, ale ze wszystkich cesarzy rossyjskich sumienia miał najwięcej. Tak jak uwolnił tych Polaków, których Katarzyna trzymała w więzieniu (Kościuszkę, Niemcewicza, Ignacego Potockiego, Kilińskiego i innych), tak i Unitów nietylko gwałtem na schyzmę nawracać nie chciał, ale owszem przywrócił niektóre przez matkę zniesione unickie dyecezye i bazyliańskie klasztory. Nie długo też żył. Wielcy urzędnicy dworscy i wojskowi zrobili przeciw niemu spisek, żeby go złożyć z tronu i zamknąć w klasztorze, na co się i synowie jego zgodzili. Ale zamiast tak zrobić, woleli skończyć z nim odrazu, i udusili go: to już podobno bez wiedzy i pozwolenia synów.

Nastąpił po nim jego syn Aleksander Pierwszy. Nie był on bez dobrych uczuć, a zwłaszcza lubił i umiał udawać jeszcze lepszego niż był. Unitów, jacy jeszcze w jego państwie zostali, nie prześladował i gwałtem do swojej wiary nie zmuszał. Przez całe życie trapiony w sumieniu wspomnieniem śmierci ojcowskiej, pod koniec życia chciał podobno tajemnie przejść na wiarę katolicką. Umarł nagle, otruty, w roku 1825.

Jego brat i następca, cesarz Mikołaj, wziął się znowu do Unii za przykładem babki, Katarzyny. Zaczął od tego, że wszystkich dawnych Unitów, którzy za Katarzyny przeszli na obrządek łaciński (bojąc się, żeby ich na schyzmatyków nie obrócono), kazał nawracać i zapisywać na schyzmę: dla kleryków unickich kazał zakładać szkoły pod dozorem schyzmatyckich popów i z ich nauką: klasztory Bazylianów kazał zamykać, zakonników rozpędzać. Taki był początek: a potem nastąpiło prześladowanie straszne i krwawe, wołające o pomstę do Boga. Był ksiądz pewien młody, unicki, nazywał się Józef Siemaszko. Ten od dzieciństwa jakżeby opętany nienawiścią swojej wiary, o tem tylko myślał, jakby ją zdradził, Unię do szczętu zniszczył, a schyzmę na jej miejsce wprowadził. Podawał w tym celu wiele pism do rządu i cesarza z radami, jakby to zrobić najłatwiej, a gdy im się dobrze dał poznać jako wróg i odstępca katolickiej wiary, cesarz przedstawił go Papieżowi na biskupa (unickiego jeszcze): Papież nie mógł wiedzieć, co ten człowiek w skrytości serca myślał i zamierzał, i Siemaszko biskupem też został, mścisławskim naprzód, a później wileńskim.

Zamierzył on księży unickich do schyzmy skłonić, albo do niej gwałtem zmusić: a skoroby księża na rossyjską wiarę przeszli, to lud bez swojej wiedzy i bez pytania byłby zapisany na p r a w o s ł a w n y. Przez kilka lat pracował nad księżmi. Gorszych pieniądzmi, słabych strachem na swoją stronę przeciągał: wiernych tych, co swojego kościoła zdradzić nie chcieli, wypędzał z parafij, więził, w głąb Rosyi kazał wywozić, klasztory bazyliańskie zamykał i schyzmatyckim czerńcom oddawał: wtedy i sławny wołyński Poczajów (blisko galicyjskiej granicy) na schyzmę był zabrany. Po kilku latach tyle dokazał, że kilkuset księży albo złych albo wylękłych o los własny i rodzinę, dało podpisy, że na schyzmę przejdą. Te podpisy posłał Siemaszko do cesarza: cesarz odpowiedział, że Bogu dziękuje za nawrócenie Rusi do p r a w d z i w e j w i a r y, i na pamiątkę kazał bić medal z napisem, że „Ruś g w a ł t e m oderwana była od cerkwi rossyjskiej, a m i ł o ś c i ą do niej była przywróconą“ (w roku 1839).

Zaledwie to powiedział, jużci Szeliga stary wpada ze swoimi na dziedziniec. Pierwej i on znał uszanowanie dla państwa, ale zbuntowany, wpadł teraz w czapce i z kijem, wiodąc Walka i parobków. Berdysz wpadł za nim, ale przecie zdjął czapkę z głowy.

— Proszę wielmożnego pana! — rzeknie Szeliga — żeby mi oddał moją Baśkę. Ta psiawiara Jasiek uciekł z nią do dworu.

A stary Berdysz: — Niech Wielmożny pan odda, bo ja nie chcę, aby sobie mój syn tą bestyją głowę zawracał.

— Baśka mnie zrękowana! — wołał zuchwały Walek trzymając czapkę na łbie — nikt jej zatrzymać nie może.

— To ty bratku! — odezwał się urzędnik powiatowy oburzony całą tą historyą. Po ciebie przyjechałem. Pójdźno tu do mnie.

Walek chciał dać drapaka i zbladł jak ściana. Berdysz zatrzymał go za kołnierz.

— Idź łotrze, kiedy cię wielmożny adjunkt woła.

Walek stanął przed adjunktem, drżący jak osika.

— Nazywasz się Maciej Niezdara? — mówił urzędnik.

Walek klapnął zębami ze strachu. Szeliga odpowiedział za niego:

— Wielmożny adjunkcie, to Walenty Bizun, przysiężny, a nie żaden Niezdara.

— Nie ciebie się pytam — rzekł groźno adjunkt. — Nazywasz się Niezdara i byłeś foryszycem u porucznika Schwertstreich, w 40-tym pułku. Okradłeś go i uciekłeś. Kto ci tę nogę przetrącił, tego nie wiem, dość, że przyszedłszy tutaj podrobiłeś fałszywy paszport i przezwałeś się Walkiem Bizuniem. Hej! zakuć go w dyby i podwodę dostawić do dworu, pojedziemy tam, gdzie go nauczą kraść i podrabiać paszporta.

Szeliga otworzył gębę jak wrota. Walek buchnął na ziemię jak długi i jął lamentować i rwać rude włosy z głowy. Nikt go nie żałował, bo każdy wiedział, że niepoń. Najbardziej się jeno wstydził stary Szeliga, który go aż do córki wysforował. *(Dok. n.)*

Co to była za miłość? Wszystkich gwałtów i okrucieństw wyliczać tu nie możemy, bo byłoby za długo. Wspominamy tylko ogólnie, że księża, którzy schyzmy przyjąć nie chcieli, bywali wszyscy odzierani z szat kapłańskich, trzymani po schyzmatyckich klasztorach w więzieniu, obracani na dyaków przy schyzmatyckich cerkwiach. Ci, o których myślano, że drugich zachęcają do wierności, prześladowani byli okrutniej. Tak naprzykład ksiądz Micewicz, trzymany był przez sześć miesięcy w lochach pod kościołem w Żyrowicach, o chlebie i wodzie: a gdy i to nie pomogło, oddany był mnichom schyzmatyckim, którzy się nad nim i innymi okrutnie pastwili, bili i katowali.

Gorzej jeszcze było z zakonnicami, Bazyliankami. Te, gdy rozkazu Siemaszki nie przyjęły, i oświadczyły odważnie, że wiary swojej nie odstąpią, z klasztorów swoich wygnane, pędzone były pieszo, w ciężką zimę, do różnych klasztorów rossyjskich mniszek (czernic); tam do ostatnich posług używane, bite, nogami kopane: wiele z nich umarło z tej męki: ale ogółem tęższe były i wytrwalsze od mężczyzn. Parę z nich zdołało umknąć, i po niezliczonych trudach dostały się do Rzymu; między niemi przełożona, Matka Makryna Mieczysławska, której prześladowanie opisane w obcych językach stało się głośnem na świecie. Sama dożyła w Rzymie późnej starości, i tam w klasztorze Bazylianek umarła.

A jakże lud unicki przyjął tę zmianę? W wielu miejscach widząc ten sam zewnętrzny kształt nabożeństwa, jaki był dawniej za Unii, nie spostrzegł się zrazu: nie wiedział, co z nim zrobiono. Ale opatrzył się z czasem, i próbował się opierać. Sakramentów od schyzmatyckich księży przyjmować nie chciał; do cesarza podawał prośby, żeby mu wolno było w dawnej wierze pozostać. Ale na to rada była łatwa. Tych, co prośby pisali i podpisywali, wywożono w głąb Rossyi albo więziono. Popi chodzili po wsiach z kozakami i żandarmami, gwałtem otwierali ludziom usta i wpychali kommunię, a potem zapisywali na prawosławie. Czasem opierających się spędzano na jedno miejsce, otaczano ich słomą, słomę podpalano, a kto chciał żywy wyjść, musiał wiary odstąpić. A innych zapędzano na stawy zamarzłe, a kiedy opierali się jeszcze, łamano lód, żeby ich potopić. Tak Rossya nawracała unitów na schyzmę, taka to miłość połączyła z rossyjską cerkwią trzysta parafij, dwa tysiące księży, i półtora miliona ludu (głównie na Litwie)!

Po śmierci srogiego cesarza Mikołaja (1855) wstąpił na tron jego syn Aleksander Drugi. Uchodził on za łagodnego i dobrego: istotnie zniósł poddaństwo ludu w swojem państwie, tej zasługi odmówić mu nie można— (choć gdyby był chciał wysłuchać próśb szlachty polskiej z Litwy, Wołynia, i Królestwa Polskiego, to byłby zniósł poddaństwo wcześniej). Dla Polski wszakże, dla Kościoła katolickiego, a w szczególności dla Unitów nie był on lepszy, tylko owszem gorszy od ojca.

Pokazało się to rychło po jego wstąpieniu na tron, w jednym wypadku, który zapowiadał wiele późniejszych.

Jest na Białorusi, niedaleko Witebska, wieś jedna duża, licząca przeszło tysiąc ludności, nazywa się Dziernowicze. Wieś ta za Katarzyny jeszcze bojąc się, żeby jej nie zapisano na prawosławną, przeszła z unickiego obrządku na łaciński. Ale że kiedyś ich dziadowie byli Unitami, więc za Mikołaja, za Siemaszki, zapisano ich na schyzmatyków. Ale w skrytości serca byli zawsze katolikami; a słysząc o nowym cesarzu a dobrym, podali prośbę, żeby im pozwolił do dawnej wiary powrócić. Natychmiast zjeżdża śledztwo, urzędnicy, popi, żandarmi, żołnierze, i pytają gromady, jak śmiała myśleć o tem, żeby się cesarzowi i Bogu sprzeciwiać? Gromada odpowiada, że cesarzowi jest posłuszna, tylko swoją dawną wiarę chce zachować. Wtedy tych, których mieli za najpoważniejszych i najśmielszych zbili żandarmi okrutnie do krwi, powybijali im zęby, i odstawili do więzienia do Witebska. Jeden z nich, felczer wiejski Wincenty, tak był zbity, że aż dostał pomieszania zmysłów. Po ich wywiezieniu cała komissya została w Dziernowiczach, i siedziała tam sześć tygodni, wzywając do śledztwa po kolei mężczyzn i kobiety. Przy tem śledztwie mało kto nie był bity do krwi. Nagle komissya odjechała. Myślano we wsi, i w całej okolicy, że to cesarz kazał zaprzestać okrucieństw; cieszono się, że może wysłucha prośby, i pozwoli gromadzie zostać katolicką. Ale niebawem zjeżdża komissya druga, z jakimś jeszcze wyższym urzędnikiem na czele, i znowu wzywa gromadę do śledztwa. Zaczyna się namowa, zrazu niby łagodna i słodka, żeby się nie buntowali i wyznawali taką wiarę, jak cesarz chce. Lud odpowiada, że „kiedy „żydom pozwalacie spokojnie swoją wiarę wyznawać, „to pozwólcież i nam“. Wtedy drugi urzędnik woła: „a cóż to wy łotry buntowniki, nawet się nie ukłonicie „panu senatorowi ?“ Lud się kłania.—„Nie tak! niżej, „do kolan. I rękę pocałować“. Jeden po drugim schyla się do kolan i całuje, nie domyślając się zdrady. A tymczasem co który to zrobił, to go brali na bok, i zapisywali, że się poprawił i poddał, i że już jest prawosławny. Kazali im, żeby nazajutrz wszyscy byli w cerkwi, przyjąć św. kommunię.

Ale poznali zdradę, i nie przyszedł do cerkwi żaden.

Wtedy całą wieś otoczono wojskiem tak, że żadną ścieżką nikt się z niej wymknąć nie mógł, ani dać znać, co się tam dzieje. Grożono, że kto się opierać będzie, to dostanie pięćset kijów, a jak te wytrzyma to drugie pięćset, i jeszcze trzecie, i pojedzie na Sybir; a nad żonami i córkami pastwić się będą żołnierze. W końcu otoczono całą gromadę wojskiem, bagnetami zapchano

do cerkwi, tam gwałtem otwierano usta tłukąc pod brodę pięścią albo koląc bagnetem, i w usta wpychano schyzmatycką kommunię. Potem zapisano, że wszyscy włościanie Dziernowiccy dobrowolnie wrócili na prawosławie!

Tak się skończyła sprawa Dziernowicka. Później było gorzej. Tysiące podobnych, i okrutniejszych jeszcze działo się na Podlasiu, i dzieje się dotąd.

(C. d. n.)

Korespondencya.

Z Niskiego.

Byłem dziś u naszego nauczyciela, bo się jakoś lubimy i książki mnie do niego ciągną, tak pokazuje mi *Krakusa*. Bierzemy się zaraz do czytania i ogromnie nam się podoba. Powiadam mu: „Muszę to pismo zaprenumerować“ — i chcę dać pieniądze. Ale on na to: „Po co ja mam posyłać, poszlijcie sami, jeszcze co napiszcie, a *Krakus* bardzo się ucieszy“. Kiedy tak, myślę sobie, to dobrze; idę do domu i chcę pisać. Ale bo to tak łatwo chłopu siąść do pisania? Gdzie pióro? pytam się wszystkich. To widziało, tamto nie widziało — to miało, tamto nie miało, — no i znalazło się drewienko, ale bez żelazka. Pół biedy, myślę sobie, gęsi przy gospodarstwie są i pióro będzie, ale gdzie papier? Wiem, żem miał cały arkusz, szukam i szukam i znajduję w pólskrzynku: dziewczyna sobie nim owinęła korale. Hałasuję, powiada, że to nic, wyprasuje go — bo teraz na wsiach już dziewczyny i żelazka do prasowania mają. Szukam kałamarza. Idę prosto do komory, bom go tam wyniósł przed dziećmi, ale w komorze nie ma. Dopiero sobie przypominam, żem w lecie pisał list Kasprowej, co syna ma przy wojsku. Wracam do izby, patrzę — stoi na oknie za lusterkiem. Cóż z tego, kiedy w nim ani kropli atramentu. Jak przeklęte muchy zaczęły w nim przez lato bębnić, tak wybębniły wszystko. Patrzę na dziewczynę, a ta stoi, jak wryta i papier leży przed nią na desce żółty, jak cygan. A niechże cię!... wołam, po co było gorącem żelazkiem prasować papier?! Jużem dalej nic nie mówił, bo okropnie się dziewczysko zawstydziło, tak powiadam w tym impecie: biegnij do miasta! Dobrze jeszcze, że dziewczysko się pomiarkowało i zamiast lecieć milę do miasta, poszła do naszego nauczyciela i przyniosła mi wszystko.

Taki to porządek u chłopa! I musi to człowieka gniewać, bo mogłoby być inaczej, gdyby się o to dbało. Zajrzyjmy tylko do miasta, choćby do takiego, jak nasz Dzików. Tam w takiej chałupie, jak chłopska, najmniej dwie stancye, a czasem trzy i cztery: mają ludzie przez to wygodę i porządek. A u nas co? Stawia się chałupę dużą, ale podług naszego zwyczaju pogańskiego, bo on pewnie jeszcze z tych czasów pozostał, jakeśmy jeszcze jakąś pogańską wiarę mieli, trzecią część chałupy obracamy na sień. Po co, na co, taka wielka sień? Juści przy gospodarstwie nie trudno o graty i takie różne graty w tej sieni leżą, ale gdyby kto chciał, znalazłoby się miejsce na to wszystko gdzieindziej: w komorze, pod szopą, w drewutni, na strychu. Pokazałoby się, że taka wielka sień, co i tak zazwyczaj pustką stoi i zbiorowiskiem jest niechlujstwa, zupełnie jest niepotrzebna, że mogłaby być o połowę mniejsza. To sień. A teraz izba. Podług tego samego pogańskiego naszego zwyczaju miewamy tylko jedną izbę taką dużą, że śmiało możnaby z niej zrobić dwie, ale my mamy jednę. W tej izbie — znowu podług pogańskiego zwyczaju — musi być najpierw piec wielki jak piekło. Możnaby z niego zrobić trzy, ale nam to nic nie szkodzi, jakby się cegłę za darmo dostawało, i jakby ten piec był na to, żeby koniecznie trzecią część izby zajął. Trzecia część izby zajęta, pójdźmyż dalej. Mamy dalej łóżko zazwyczaj jedno, więc musi być wielkie. Na niem śpi ojciec, matka i wszystkie dzieci: wzdłuż, w poprzek, jak kto padnie. Tak chyba nasza święta wiara nie chce, ale my o to nie dbamy, bo my się trzymamy jeszcze pogańskiego obyczaju. Dalej jaki taki stół, jakie takie ławy, czasem jeszcze cielę, co się je wzięło przed zimnem ze stajni, może nawet z krową i wszystko, co trzeba do kuchni: cebrzyki z pomyjami, konewki z wodą, łyżki, miski, garnki i co kto chce, a oprócz tego żarna i kolebka. Rozumie się naśmiecone, ponalewane, to i owo porozrzucane. Nie może być inaczej, bo kto sobie da radę w jednej izbie? Jeżeli w takiej jednej izbie jest gdzie porządek, to tam gospodynię trzebaby uzłocić, tam chłop, wstając i legając, powinien Panu Bogu dziękować, że mu dał taką żonę. Dobrze to i ładnie, że takich żon coraz więcej, ale ten pogański zwyczaj mieszkania w jednej izbie powinniśmy się starać, jak kogo stać, porzucić tak dlatego, że trudno w jednej izbie o porządek, jak i z innych przyczyn. Weźmy na ten przykład, że ktoś w domu umrze. Jakże tu przy trupie jeść, gotować, spać? Robimy tak, że się kładzie nieboszczyka do trumny i wyrzuca się albo do sieni, gdzie zachodzą kury i gęsi i prosięta i wszelka towarzyna, albo do komory, albo jeszcze gdzieindziej. Czy to tak po Panu Bogu wyrzucać z izby kochanego ojca albo kochaną matkę, którzy się tyle napracowali i nastarali, albo kochane dziecko, nad którem płaczemy? Gdyby była choć jeszcze jedna izba, jużby tego nie trzeba było robić, bo byłoby się gdzie podzieć. A weźmy na ten przykład zaraźliwą chorobę: tyfus, szkarlatynę, dyfteryę, albo, co nie daj Boże, cholerę. Co wtedy począć w jednej izbie? Tu już musi jedno od drugiego się zarażać i ginąć. Po co zresztą zaraźliwych chorób? Weźmy na ten przykład, że masz podrosłe dzieci, a tu ci kobieta zlegnie. Wtedy już albo dzieci wypychaj za drzwi, albo niech się patrzą, jak im bocian

przynosi siostrę albo braciszka. A potem chrzciny, co mnie się niedawno temu przytrafiło. Czego zwyczaj, zaprosiłem tego i owego, com to był i kontent, że mi się syn urodził. Wnet było ludzi pełna izba. Póki trzeźwi, chwała Panu Bogu: gadają ciszej, nie hałasują, wszystko jak się patrzy; kobiecinie, co leży słaba, jeszcze jako tako. Ale jakże ludzi nie uczęstować, kiedy się ich sprosiło, a oni jakże nie mają pić, kiedy się daje. Ano coraz głośniej, coraz większa wrzawa, bo każdy chce, żeby go słychać było; zaczynają się i śpiewy, czasem i krzyki, czasem i przekleństwa. W izbie duszno, że aż strach, otwierają się okna, drzwi, a kobiecisko leży tam w kącie na łóżku, jak jaki Łazarz. Że ich połowa nie umiera, to jeszcze jakaś szczególna łaska Pana Boga. Choć nie wiem doprawdy, czemu ten Pan Bóg tak nad nami się lituje, kiedy za nasze pogańskie obyczaje żadnej nad nami nie powinien mieć litości, jak my nie mamy litości nad swojemi żonami i matkami. Jeszcze co — zaprosiłem sobie w kumy brata, co jest w skarbie leśnym. Dobry człowiek, ale jak łeb zaleje, to waryat. Mamy dobrą milkę do kościoła. Wziął na wóz kumoszkę z dzieckiem, jeszcze jedną kobietę i pojechał. Ochrzcili, wszystko ładnie, ale w powrocie trzeba wstąpić do karczmy, bo tak przykazuje pogański obyczaj. Pana Boga można nie usłuchać, ale pogańskiego obyczaju jakże się tu wyrzec? Daj wam Boże zdrowie, daj wam Boże zdrowie i łby pozalewali. Dziecko drze się wniebogłosy, ale to nic. Wsiadają przecież na wóz, no i teraz trzeba pokazać, jakie to kum ma konie i jak umie jeździć. Dalej batem po koniach i wio galopem, a potem bach w rów. Jeszcze Bóg święty strzegł, że mi dziecka nie utopili. Przyjechali zmoknięci i zmarznięci. Gdyby była druga stancya, byłbym do niej zaprowadził kobiety, niechby się przebrały, a tak musiałem powiedzieć: „Idźcie kumoszki do domu i przebierzcie się“ — a tam na dworze marznie i śnieg tnie, aż miło.

Co tam inni chłopi sobie pomyślą, jak to przeczytają, to niech sobie myślą, ale ja, jak da Bóg Wszechmogący doczekać wiosny, już się muszę tego pogaństwa pozbyć, skorom na chrzcie świętym przyrzekł być chrześcianinem katolikiem i zrobię sobie w swej chałupie dwie stancye. Jużem sobie wszystko rozmierzył, rozrachował i jak widzę, będę miał i sień, tylko nie taką wielką, jak teraz, i dwie stancye większe jeszcze, jak w mieście ludzie miewają, i przyjdę choć raz do porządku. A gdybym, nie daj Boże, tymczasem umarł, to w testamencie nakażę synowi, żeby tak zrobił.

Jak się to na co przyda, com teraz nabazgrał, to jeszcze do kochanego *Krakusa* napiszę.

Jak wybierać posła do Rady państwa.

Pisaliśmy w przeszłym numerze „*Krakusa*“ o prawyborach, jak one odbywają się, dziś chcemy powiedzieć o wyborach i przygotowaniu do nich. A najpierw trzeba wiedzieć ilu to bywa posłów. Wszystkich posłów w Radzie państwa zasiada z całej Austryi 353, a z tych pochodzi z Galicyi 63. Jest to mało, bo Galicya na obszar ziemi stanowi czwartą część państwa, a także ludność Galicyi wynosi czwartą część ludności Austryi, to i liczba posłów z naszego kraju mogłaby wynosić czwartą a nie prawie szóstą część całej liczby posłów. Ale kraj nasz jest uboższy od wielu innych krajów austryackich, w podatkach przynosi tylko dziewiątą część tego co inne kraje płacą, a że jak to mówiliśmy prawo samo wyboru stosuje się do podatków, to i na liczbę posłów oddziaływać musi ilość płaconych podatków — i dla tego kraj nasz ponieważ jest uboższy i mało płaci podatków, ma również mało posłów. Ponieważ zaś w Radzie państwa, jak w każdej radzie do uchwały każdej potrzeba aby za nią głosowało więcej aniżeli połowa zebranych, to posłowie galicyjscy jeśli co chcą przeprowadzić dla naszej prowincyi muszą porozumieć się z posłami z innych krajów, aby prócz posłów z Galicyi, jeszcze chociaż 115 razem z nimi głosowało bo wtedy dopiero mają większość. Otóż ażeby z posłów innych krajów tak wielu głosowało z naszymi posłami, potrzeba układać się z tamtymi posłami i tamtym coś zrobić czego oni potrzebują, a wiedzieć dobrze, czego oni koniecznie wymagają i za czem oni mogą głosować. Inaczej nic się w Radzie państwa nie da zrobić. Posłowie nasi mogą układać się z posłami innych krajów skutecznie, jeżeli wszyscy są ze sobą w zgodzie i to najważniejsza, aby wszyscy posłowie z Galicyi chcieli jednego i razem trzymali się, bo jak się sami będziemy kłócili, to i tak szczupła garstka nasza rozprószy się i będziemy jeszcze słabsi: a jak posłowie z innych krajów obaczą, że my razem nie trzymamy się, to nikt z innych krajów nie będzie uważał na to, co my chcemy. Możemy wtedy ładnie mówić, ale to na nic się nie zda, nic nie otrzymamy. To też dlatego posłowie nasi w Radzie państwa zawsze zbierają się i naradzają wspólnie i te zebrania, że do nich sami posłowie polscy w Radzie państwa należą nazywają się kołem polskiem. To *koło* nietylko naradza się, ale wszyscy zobowiązują się jednakowo czyli solidarnie głosować, aby przez to solidarne, jednakie głosowanie nadać powagę i znaczenie naszym żądaniom. Przez tę jedność w głosowaniu nieraz udaje się nam bardzo wiele zyskać, a posłowie z innych krajów patrząc na naszą zgodę nieraz zmuszeni to zrobić, co posłowie nasi dla kraju pragną. Tak n. p. tylko przez tę solidarność czyli zgodność naszych posłów udało się

skreślić pretensyę rządu do Galicyi z tytułu długu indemnizacyjnego i uwolnić kraj od pretensyi przeszło stu milionów, którą gdybyśmy chcieli spłacić, tobyśmy z ciężką biedą chyba z jakich 50 lat i to dużemi podatkami spłacać musieli.

Jak się więc wybiera na posła, to najpierw trzeba na to uważać, aby on tej zgody i jedności w kole polskiem nie naruszył. W Radzie państwa jeden poseł, a nawet kilku nic nie dokaże, potrzeba zgody wszystkich posłów z Galicyi, aby zważano na to, co nasi posłowie chcą i mówią.

Jeśli jednak ta zgoda pomiędzy posłami potrzebna w Radzie państwa, to również należy dbać o to, aby z kraju wybierano takich, co tej zgody, tej solidarności nie złamią, i takich jacy są dla pracy tam potrzebni: bo jakby jedni ciągnęli w jednę a drudzy w inną stronę, toby to nasze polskie koło nigdzie nie potoczyło się i nie byłoby widać w kraju skutków jego roboty. Ktoś więc musi czuwać nad tem, aby wybory dobrze poszły, aby wyborcom proponować wybór takich posłów, co najpożyteczniejsi będą do pracy w Radzie państwa. Zadanie to podjąć może ten tylko, kto sam taką ma powagę, że głos jego w kraju przez wszystkich musi być uznany. Takiem właśnie poważnem ciałem jest zbiór wszystkich posłów polskich na sejmie we Lwowie, którzy podobnie jak posłowie polscy w Wiedniu tworzą razem koło posłów polskich sejmowych we Lwowie. Otóż ci wszyscy posłowie polscy we Lwowie przedstawiają kraj cały, oni bowiem pochodzą z wyborów całego kraju, oni radzą nad sprawami krajowemi, znają potrzeby kraju i mogą najlepiej wiedzieć jakie to sprawy teraz dadzą się poruszyć z pożądanym skutkiem. To też koło sejmowe posłów polskich we Lwowie zawsze przygotowuje wybory w ten sposób, że wybiera dwa komitety, jeden dla wschodniej, drugi dla zachodniej Galicyi i tym powierza przeprowadzenie wyborów. To są tak zwane komitety centralne. Każdy taki komitet centralny składa się pierwotnie z dziesięciu członków wybranych przez koło sejmowe. Komitety te następnie wzywają rady powiatowe, aby wybrały swoich delegatów na narady, a ci delegaci ze wschodniej Galicyi przybywają do Lwowa, z zachodniej do Krakowa i wybierają znowu po pięciu delegatów do komitetów centralnych. W każdym więc takim komitecie byłoby po pietnastu członków, ale ci pietnastu jeszcze sobie dobierają pięciu i w 20 członków stanowią komitety wyborcze, jeden na zachodnią, drugi na wschodnią Galicyę.

Zdarzyć się może, że pewni ludzie zbiorą się i utworzą sobie komitet, który nazwą centralnym, czy krajowym; ale tylko jest po jednym takim komitecie we Lwowie i w Krakowie, który wybiera koło sejmowe i każdy inny jest prywatnym komitetem, a nie sejmowym i niema prawa przemawiać w imieniu kraju.

Te krajowe czy sejmowe komitety centralne, nie narzucają wyborcom swoich kandydatów, tylko tak postępują, aby na miejscu mogła opinia publiczna wyrazić swoje zdanie. Komitety więc centralne udają się do rad powiatowych, aby one dobrawszy sobie poważnych kilkunastu obywateli zajęły się w powiecie wyborami: są to komitety wyborcze powiatowe. Ponieważ po dwa i trzy powiaty wybierają razem posła, przeto takie komitety powiatowe porozumiewają się ze sobą, aby zgodzić się na jednego kandydata, gdyby jednak to porozumienie nie przyszło do skutku, w takim razie rozstrzyga komitet centralny i on poleca na posła, albo takiego na kogo zgodzą się komitety, albo takiego, którego z kilku różnych kandydatów uważa za najodpowiedniejszego.

Każdy kto chce być wybrany, może się albo sam zgłosić do wyboru, albo go kto z wyborców może przedstawić. Taki kandydat na posła, zwykle zbiera wyborców i mówi im co onby chciał zrobić w Radzie państwa; naturalnie jak sumienny nie może nic na pewno przyrzekać, bo on ma jeden głos, to na 353 posłów mało znaczy. Komitet centralny wyborczy jak ma też polecić wyborcom jakiego kandydata, nie uważa na to czy on wiele obiecuje, ale patrzy czy on jest znany z tego że uczciwy, że rozumie się na potrzebach kraju, i że nie będzie marnował czasu na gadanie, ale że pójdzie w zgodzie z drugimi posłami, że i w obec posłów z innych krajów nie będzie stawiał się sztorcem ale potrafi uznać co innym potrzeba i czego oni także mają prawo domagać się. Jakeśmy widzieli, naszych posłów jest za mało, aby bez porozumienia z posłami innych krajów mogli to uchwalić co zechcą, więc powinni dążyć do zgody z innymi i każdemu krajowi przyznać to, co mu potrzeba. Własnie dla tego, że zadanie i działanie posła jest i trudne i bardzo ważne — potworzone są przez koło sejmowe we Lwowie komitety centralne, a z jego ramienia komitety powiatowe wyborcze, aby wyborcom przychodzić z radą i pomocą, iżby nie dopuścić złego wyboru. Do tych też komitetów przez koło sejmowe powołanych, należy udawać się z zaufaniem, że one zawsze starają się doradzić w najlepszej wierze i w najlepszej myśli, a mogą lepiej i pewniej dać dobrą radę, bo sami pochodzą z wyborów posłów sejmowych i nic nie przedsiębiorą sami bez zasięgnięcia zdania komitetów miejscowych i powiatowych złożonych z wyborców. Radźmy się więc tych komitetów wyborczych przez sejm powołanych i idźmy za ich zdaniem przy wyborze posłów.

Józef Kleczyński.

Wiadomości polityczne.

Pisaliśmy już, że wśród ministrów austryackich zaszła różnica zapatrywań, wskutek której ustąpił minister skarbu dr. Dunajewski. Zmiana to w rządzie ważna, a dla Galicyi niepomyślna. Od lat dziesięciu dr. Dunajewski był najbardziej wpływowym ministrem, miał on bowiem silne przekonania i zawsze je jawnie, prosto wypowiadał. On też głównie w rządzie popierał myśl, żeby każdemu narodowi dać to, co jemu potrzebne do rozwoju i ztąd był nienawidzony w tej partyi Niemców, którzy nie chcą takiej powszechnej ugody, opartej na sprawiedliwości; on też zawsze stawał w obronie Kościoła, więc go i ci nie lubili, co przeciw Kościołowi występują. Wielka też radość nastała w tamtych obozach, że Dunajewski przestał być ministrem, bo teraz spodziewają się, że przyjdzie na nich kolej panowania. Ale ten jego upadek zawiera w sobie naukę, bo on byłby dotychczas rządził, gdyby wszyscy chcieli z umiarkowaniem stawiać swoje żądania. Tak bowiem było, że ministrowie chcieli zrobić ugodę między Niemcami i Czechami i doprowadzili do tego, że wielu mądrych ludzi z obu narodów chciało się pogodzić. W Czechach jednak powstało rozdwojenie, pewna część z nich nie chciała słyszeć o zgodzie, stawiała żądania niemożliwe, a przez to upadł cały układ przez rząd proponowany, za czem i w rządzie powstały różnice. Teraz widocznie przeważa w rządzie to zdanie, że kiedy nie można przeprowadzić powszechnej zgody, to lepiej zwrócić się do tych, co chcą przewagi w Austryi samych Niemców. Dunajewski ustąpił, a co będzie dalej, niewiadomo.

Dr Dunajewski jako minister austryacki położył wielkie zasługi. Oddawna bowiem w skarbie państwa uczuwał się niedobór, to jest dochody były mniejsze od wydatków i co roku trzeba było robić długi, a tymczasem wszystkie państwa zbroiły się i Austrya dla własnego bezpieczeństwa musi się także zbroić, kupować nowe karabiny, budować nowe fortece. Dunajewski nie przeląkł się tego, widział że trzeba podwyższyć podatki; ale wziął się do takich podatków, co są mniej uciążliwe, więc podwyższył podatki od tytoniu, od wódki. Tu podatek płaci się w cenie tytoniu, cygara, flaszki wódki, więc ten płaci podatek, kto pali tytoń, albo wódkę pije; a kto nie chce podatku płacić, może się wstrzymać od palenia, albo picia. Na jednym kieliszku przytem różnica ceny nie wielka, a dopiero w całej masie znać podrożenie. Przytem opodatkował Dunajewski cukier, kawę i inne artykuły sprowadzane z zagranicy, a to mu tak się powiodło, że już od kilku lat dochody zrównały się z wydatkami, mimo że na uzbrojenie dużo wydano, i że jeszcze pobudowano dużo kolei, na czem ludność skorzystała i u nas, gdzie zbudowano długą kolej t. zw. transwersalną od Husiatyna przez Stanisławów wzdłuż Karpat aż po Białę z odnogami do różnych większych miast, oraz koleje drobniejsze z Jarosławia do Sokala, z Rzeszowa do Jasła i kilka innych. Te koleje podniosły bardzo wartość gruntów, a ludziom dały dobry zarobek.

Oprócz tych kolei minister Dunajewski zrobił dużo dobrego dla Galicyi, kiedy bowiem on przyszedł do władzy, Niemcy chcieli w Galicyi bardzo podwyższyć podatek gruntowy, a on zaraz tak zarządził, że Galicya o milion cały mniej płaci aniżeli miała płacić; on także starał się przeprowadzić ugodę o dług indemnizacyjny, który nam odjął obowiązek spłacenia stu milionów złr. Jest to zasługa posłów naszych, że o wykreślenie tego długu starali się, ale on w rządzie te usiłowania najsilniej poparł.

Nietylko więc szkoda dla nas, że taki minister ustąpił, ale trzeba obawiać się, że teraz trudniej będzie w Radzie państwa posłom naszym pracować, bo w ministerstwie straciliśmy silnego obrońcę, a mogą do rządów być powołani ludzie daleko mniej nam przychylni i trzeba będzie dobrze wziąć się w kupę, trzymać się wszystkim naszym posłom z Galicyi czy Polakom czy Rusinom, aby nie stracić nic z tego, co mamy. My chcemy sprawiedliwości dla wszystkich, niech każdy ma to, czego potrzebuje, i przy tym sztandarze stać musimy twardo, a prędzej czy później Bóg da ludziom sprawiedliwość, bo tak uczy Jego święta wiara.

Rzym. Na najbliższym konsystorzu ma mianować Ojciec święty arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego.

Austro-Węgry. Cesarz Franciszek Józef przebywa teraz w Budpeszcie, gdzie też przybyła i Cesarzowa Elżbieta.

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand d'Este był bardzo okazale podejmowany przez cara w Petersburgu. Pierwszego dnia po przybyciu wydano na cześć jego bal w pałacu zimowym, na którym to balu ukazał się Arcyksiążę w orderze św. Andrzeja, ofiarowanym mu przez cara. Nazajutrz był Arcyksiążę na mszy w katolickim kościele maltańskim, a potem na obiedzie u cara, na przeglądzie wojsk itd. W następne dni odbywały się różne przyjęcia, parady wojskowe i polowania. Dnia 14-go b. m. ma Arcyksiążę wyjechać do Moskwy, która była poprzednio stolicą carów, a przedtem jeszcze wielkich książąt moskiewskich; ztąd moskale zanim się rosyanami zaczęli nazywać, nazywali się *moskwitianami*, ztąd też ich nazwa polska *moskali*.

Niemcy. Ponieważ państwu niemieckiemu nie bardzo się wiedzie w Afryce, postanowił rząd sprzedać swoje posiadłości stowarzyszeniu kupieckiemu z Niemców i Anglików złożonemu.

Rząd niemiecki zakazał towarzystwom okrętowym wywozić emigrantów narodowości niemieckiej do Brazylii.

Podobno ma ustąpić ze swej posady niemiecki minister oświaty Gossler. Nadokuczał on się bardzo ka-

tolikom i Polakom. Dałby Pan Bóg, aby jego następca więcej miał w sercu miłości i więcej był sprawiedliwy.

Szefem sztabu po jenerale Waldersee, o którego ustąpieniu pisaliśmy w poprzednim *Krakusie*, został jenerał Schlieffen (czyta się Szlifen).

Rosya. Następca tronu podróżuje dalej po Indiach. Będący z nim razem brat jego Jerzy zachorował i powraca do Europy. Podobno ma suchoty i ciężko go będzie wyleczyć.

Z wiosną rozpocznie się budowa kolei syberyjskiej która kosztować będzie 75 milionów rubli.

Włochy. Crispi nie powrócił już do władzy, jak się spodziewano. Prezesem ministeryum czyli gabinetu został Rudini. Po nim główną osobą w gabinecie jest Nicotera (Nikotera), który był zawsze wrogiem Kościoła, ale obecnie podobno się ustatkował, co oby było prawdą.

Anglia. Miano nadzieję, że pomiędzy Irlandczykami nastanie zgoda, i że będą jak dalej bronili razem praw swego kraju. Dotychczasowy ich przywódca Parnell, o czem już pisaliśmy w *Krakusie*, miał dla dobra kraju usunąć się od polityki. Tymczasem znowu niezgoda nastała i kto wie, kiedy się skończy. Biedne to narody, gdzie ludzie tak się swarzyć lubią. Mniejsze nieszczęście, jeżeli są od nikogo niezawisłe i same sobą rządzą, ale stokroć gorzej, kiedy nie mają swobody, i zamiast wspólnie pracować dla dobra ojczyzny, tylko się kłócą i siły swe osłabiają. Tak robią Irlandczycy, tak robią dziś Czesi, — a na nieszczęście są tacy, co i między nami chcą wywołać rozdwojenie. Trzymajmy się i nie naśladujmy ani Czechów, ani Irlandczyków.

Izba odrzuciła wniosek Gladstone'a, aby katolikom wolno było piastować urząd lorda-kanclerza. Oto jak panowie protestanci rozumieją wolność sumienia. Kiedy car wydał ustawę przeciw żydom, to anglicy strach co nie wyrabiali: zwoływali zgromadzenia, pisali prośby do cara, płakali nad żydami. Ale dla katolików wyjątkowe prawa ustanawiać, to według ich rozumu i serca nie jest nic złego. Biedny taki rozum i złe takie serce.

Serbja. Cały gabinet (ministerium) podał się do dymissyi z powodu, że członkowie rządu nie mogli dojść do porozumienia w sprawie byłej królowej Natalii, a mianowicie jaki ma być jej stosunek do syna, młodziutkiego króla Aleksandra.

Rozmaitości.

Nowa szkoła kowalska. Wskutek podniesionej przez Sejm potrzeby założenia szkoły kowalskiej w Sułkowicach, pan minister oświecenia polecił rzecz zbadać i uznał żądania Sejmu za usprawiedliwione. Z początku urządzoną ma być w Sułkowicach tymczasowa szkoła z warsztatem dla grubszych wyrobów z żelaza. Szkoła ta będzie tylko oddziałem szkoły ślusarskiej w Świątnikach Jeżeli próba wypadnie dobrze, to pan minister zgodzi się na urządzenie stałej szkoły. Kraj ma dostarczyć budynku na umieszczenie zakładu, oraz pokrywać wydatki na opał i oświetlenie.

Nowy sąd. Minister sprawiedliwości polecił otworzyć sąd obwodowy w Stryju.

Jaskółki pocztowe. Władze wojskowe francuskie postanowiły używać jaskółek zamiast gołębi, do przenoszenia listów. Próby odbyte dały zupełnie zadawalniające wyniki. Jak się jaskółki do tego przyzwyczaja, jest dotychczas tajemnicą i zapewne pomysłowy rząd francuski postara się, aby jej nie odkryto. Jaskółki nad gołębiami mają tę wyższość, że prędzej latają, a nadto, jako mniejsze, trudno je wziąć na cel. Wiedeńskie ochotnicze towarzystwo ratunkowe, które niedawno zaopatrzyło się w pocztowe gołębie, zwróciło się teraz do jednego z przyjaciół swych w Paryżu z prośbą o takie jaskółki, które przyrzeczono mu dostawić w marcu.

Ajenci emigracyjni, skazani w Wadowicach za gwałty i oszustwa, jakich dopuszczali się w obec biednych wychodźców, apelowali do Wiednia o zniesienie kary. W zeszłym tygodniu była ta sprawa rozpatrywaną w Wiedniu. Paru mniej winnych uwolniono, niektórym zmniejszono nieco karę. Ale główni przywódcy Herz, Klausner, Loewenberg itd. będą siedzieli po dwa, a nawet po trzy lata.

Ropuchy mogą być pożyteczne. Niedawno spostrzegł jeden z uczonych rosyjskich, że do ula stojącego w jego ogrodzie zakradała się co wieczora ropucha i stojąc przy otworze czatowała na powracające pszczoły, połykając jedną po drugiej. Uczta ta trwała półtory godziny. Gdy profesor schwytał potem ropuchę i rozciął jej żołądek, był tenże napchany pszczołami. Również miały pszczołami napełnione żołądki inne ropuchy, znajdowane w pobliżu ulów. Podobne upodobania spostrzeżono u innych gatunków żab. Pospolita w Ameryce żaba drzewna (Chyla versicolor) ma szczególny smak do ós. Podobno że i ropuchy niemi nie gardzą. Jest to ważna wskazówka dla gospodarzy. W pobliżu ulów należy tępić ropuchy — natomiast, gdzie dają się osy we znaki, trzeba pielęgnować ropuchy jako naturalnych sprzymierzeńców człowieka.

Jak zapobiedz zamarznięciu szyb? Pisma zwracają uwagę na środek który ma być bardzo skuteczny; 55 gramów gliceryny rozpuszcza się w litrze mocnego spirytusu, do którego, by mu odjąć przykry zapach, dodać można nieco olejku bursztynowego. Skoro tylko mieszanina stała się przejrzystą jak woda, wyciera się szmatką płócienną lub też skórką, cieczą tą napojoną, wewnętrzną powierzchnię szyby, która potem ani się poci, ani też nie zamarza.

Przy spisywaniu ludności otrzymywali panowie pisarze niejednokrotnie zabawne odpowiedzi. I tak w pewnej gminie, zapytuje pisarz gospodarza, czy ma żonę. „Mam“ — brzmi odpowiedź. — „Czem się trudni?“ Odpowiedź: „Pierze chusty, gotuje, chodzi koło drobiu itd.“ Inny gospodarz odpowiada cały czas po rusku, gdy więc przyszło do rubryki „Język towarzyski“, pisarz z odpowiednią powagą wpisuje: „mówi językiem grecko-katolickim“. W pewnem mieście znowu na jednym arkuszu w rubryce „płeć“ widnieje wyjaśnienie, że ta jest „biała“. Niechybnie rubrykę wypełniała kobieta, która chciała wykazać, że jest „delikatnej białej cery“. W rubryce „stan“ wyczytać można często słowa: mężasty, mężasta, żonata, zamężny.

Fraszki.

Młody pan zajechał na noc do lichej oberży, gdzie arendarz ciekawy między innemi pytaniami i o to zapytał, dokąd i w jakim celu podejmuje pan podróże. Gość przybyły jako człowiek otwarty, nie taił powodu swej wycieczki, ale wprost powiedział: „jadę w świat szukać rozumu!“ Żyd przebiegły pomyślał sobie: „kiedy ty w świecie szukasz rozumu, to ty musisz mieć pieniądze“. Ale i gościowi ciekawość żydowska wcale się nie podobała, także pomyślał sobie: „ty widzę chcesz mię rozumu nauczyć, ale ci się nie uda“. Po skromnej bardzo wieczerzy, gość rozpasawszy z siebie duży trzos z pieniądzmi rzucił na stół, sam zaś położył się na słomę zaraz koło stołu i udał śpiącego. Żyd z alkierza patrzał bardzo uważnie, gdzie był trzos położony i zgasił światło na pewne. Gość tymczasem cichutko ściągnął trzos ze stoła ku sobie i począł tęgo chrapać. Żyd sądząc, że dobrze zasnął, na palcach wysunął się z alkierza i dalejże do stołu, maca naokoło, lecz trzosa nie było. Gdy się oddalił żyd, gość pocichu znowu trzos na stół położył. Żyd krzesze ognia, rozpalił świeczkę i patrzy, trzos leży na swojem miejscu. Zgasił tedy świeczkę, a tymczasem gość znowu ściągnął trzos ku sobie i lepiej jeszcze chrapał. Żyd na palcach znowu lezie po trzos, maca, nie ma trzosa, wylazi na stół, nie ma. Wraca do alkierza i znowu krzesze, a tymczasem gość znowu trzos wystawił na stół. Żyd rozpalił świecę i patrzy, trzos leży na stole. Dmuchnął na świecę i zgasił, a tymczasem gość pomknął trzos ku sobie. Idzie żyd po raz trzeci, maca, nie ma trzosa. Domyślił się przecie, że to są figle gościa i pod nosem tylko powiedział: „Rich an taty aran, di szwarc jur“ i spać się położył. Rano tedy wstał ów podróżny, przypasał trzos jakby nic nie zaszło, zapytał o rachunek żyda, który wyszedłszy do niego z alkierzyka tak powiedział: „Ny! po co pan jedzie w świat szukać rozumu? Pan go już masz!

W garkuchni.

Jan. Jakem był wczoraj na jarmarku, poszedłem z kumem Ignacym do Więcka na wódkę, wypiliśmy po kieliszku, zjedliśmy po kawałku kiełbasy i słoniny, napiliśmy się jeszcze piwa — i za to wszystko zapłaciłem 15 centów. Prawda że tanio?

Wojciech. E! to nic — ale dostać za trzy szóstki pół funta kiełbasy, kwaterkę wódki i bochenek chleba, to dopiero tanio!

Wszyscy słuchający. A gdzie to? gdzie? powiedzcie mój Wojciechu.

Wojciech. Ba! gdybym ja wiedział gdzie, tobym tam sam zaraz poszedł.

Przy łóżku chorego.

Chory. Ratuj, ratuj doktorze! Ach! żebym mógł choć póty żyć, poki moich długów nie popłacę...

Doktór. E! to ja widzę, że tybyś chciał żyć wiecznie.

Zagadka.

Wyszedł na stu nogach z lasa,
I wlazł w wodę aż do pasa;
Kto mu płaci, kto go prosi,
To przez wodę go przenosi.

Znaczenie zagadki w Nrze 6-tym: *Zegar.*

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 10 lutego.

Płacono za pszenicę białą od 9.— do 9.25 złr., za czerwoną od 8.80 do 9.25 złr., za żółtą od 8.80 do 9.15 złr.; za żyto od 6.90 do 7.25 złr.; za jęczmień browarny od 6.75 do 7.50 złr.; na paszę od 6.— do 6.25 złr.; za owies od 6.10 do 6.40 złr.; Rzepak od —.— do — —. Wszystko za 100 kilogramów.

Od Redakcyi.

Z powodu braku miejsca nie mogliśmy w dzisiejszym Nrze *Krakusa* umieścić ryciny, co jednak później czytelnikom naszym postaramy się wynagrodzić.

Redakcya „Krakusa“ przeniesioną została na ulicę Szewską l. 15.

Upraszamy wszystkie listy do Redakcyi, artykuły i gazety adresować wyraźnie: Redakcya „Krakusa“. Kraków, ulica Szewska l. 15.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W drukarni „Czasu“ w Krakowie Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.